

MUSZĘ SIĘ ZIRYTOWAĆ

z ANNA POLONY rozmawia Włodzimierz Jurasz

◆ Dziś w południe w Galerii Teatralnej przy ul. Szpitalnej zostanie otwarta poświęcona Pani wystawa. Wieczorem w teatrze „Bagatela” odbędzie się premiera wybranych scen z „Wesela” pt. „Co się komu w duszy gra” w. Pani adaptacji i reżyserii. To przypadek, czy jakaś okazja? A może jubileusz?

Nie, nie, jubileusz już był. Nie chciałam się do niego przyznać, bo jubileusz po prostu nie lubię, wydaje mi się, że są zamknięciem jakiejś części życia, wręcz wprowadzeniem do emerytury. Swój szesznaroczny jubileusz obchodziłam bardzo skromnie, w gronie kolegów po premierze „Fantazego”. Teraz mogę się przyznać, że było to 30-lecie pracy. A wystawę po prostu zaproponowało mi muzeum. I co? Miałam się nie zgodzić? To znaczy mogłam się nie zgodzić, bo nie lubię być obiektem muzealnym, ale skoro przyszedł na to czas, to co można zrobić? Czas jest wstrętny i nieublagany.

◆ Spektaki w „Bagateli” nie jest pierwszą Pani pracą reżyserską. Teatr im. Słowackiego gra aktualnie „Wesele Figara”...

— Tych premier było w sumie chyba dziesięć. Cóż, jestem dyplomowanym reżyserem, ukończyłam odpowiedni wydział w szkole teatralnej.

◆ Ale dawniej reżyserowała Pani rzadziej?

— To już kwestia przypadku, ponieważ także mojej inicjatywy i inicjatywy ludzi, którzy chcieli ze mną współpracować. W ogóle reżyseruję dość rzadko, ponieważ w tym fachu nie czuję się najpewniej, zdaję sobie sprawę ze swoich możliwości, wiem że nie odkryję Ameryki, że nie wymyślę nic nowego. Ale wiem też, że mogę zrobić dobre przedstawienie, szczególnie komedię. Wydaje mi się, że czuję komedię, robię ją tak, by widz mógł się nią bawić, a aktorzy mieli satysfakcję z grania. Wybieram sztukę dobre, z dobrymi rolami.

◆ Reżyseruje Pani w „Bagateli”, w Teatrze im. Słowackiego, a przecież związana

jest Pani ze Starym Teatrem...

— Widzę, że nie pamięta Pan moich przedstawień w Starym. Ale tak się składa, że reżyseria zawsze wychodziła mi lepiej w innym teatrze albo wręcz w szkole teatralnej. To co robiłam w Starym było przyjmowane... no, różnie. Myślę, że trochę krepowała mnie sytuacja, konieczność pracy z kolegami, na których trudno krzyknąć czy zirytować się. A ja najlepiej porozumiewam się z aktorami w konflikcie, gdy mogę krzyknąć czy się zdenerwować. Poza tym zawsze miałam kompleksy wielkich reżyserów, którzy tworzyli na tej samej scenie. Czułam się jak uboga krewna, miałam skrepowane ręce, chciałam wymyślić coś równie wielkiego i może dlatego moje przedstawienia miały jakieś słabości. A może wypadały gorzej na tle innych spektakli? W każdym razie poza swoją sceną czuję się swobodniejsza. Ale oczywiście jestem aktorką Starego Teatru, zaś fakt, że poświęcam się reżyserii wynika z tego, że nie gram ról, które dawałyby mi satysfakcję.

◆ Tak, mówiła już Pani o tym w publicznych wystąpieniach.

— Z tym, że nie mam o to pretensji. Otrzymuję propozycje, ale rolę jakiej miałabym zagrać nie zaspokajają moich ambicji. Uważam, że tyle się już nagralam, iż publiczność ma prawo oczekiwać ode mnie czegoś oryginalnego, wyjątkowego, a nie pań z trzeciego czy dziesiątego planu. Wiem, że mówię okrutnie i nieskromnie, ale po tylu latach wolę wyreżyserować jakiś, choćby średni, spektakl, niż zagrać banalną rolę. A od naszego teatru wymagam czegoś dla siebie. Wiem, że ten teatr wiele dla mnie zrobił, ale ja też oddałam mu wszystko i uważam, że na stare lata mam prawo powiedzieć, iż po roli Respektowej w „Fanatyzm” chciałabym zagrać jakąś rolę prowadzącą. Nawet poddałam dyrektorowi taką myśl, by wystawił „Wizytę starszej pani” Dürrenmatta. Wydaje mi się, że to rola dla mnie.

◆ W Pani aktorskim życiu są dwa momenty, które budzą moją ciekawość. Przez cały czas była Pani związana z Krakowem, a przecież przez długie lata dla wszystkich prawie aktorów krakowskich ukoronowaniem kariery był wyjazd do Warszawy.

— Dla mnie również, ale na przeszkodzie stanął mi ówczesny dyrektor Starego Zygmunt Hübner. Spodziewałam się pewnej roli, której w końcu nie dostałam. Ponieważ był to początek mojej kariery, strasznie się obraziłam. A grałiny w tym czasie „Nieboską komedię”, w której widziało mnie wielu ludzi teatru, zdobyłam się więc na odwagę i napisałam do Erwina Axera. Odpisał mi natychmiast, zapraszając do Warszawy, także Jerzy Kreczmar, dyrektor Teatru Polskiego od razu chciał mnie wziąć i proponował rolę. Ale miałam już podpisaną umowę z Teatrem Starym, a dyrektor Hübner nie chciał mnie z niej zwolnić. I wtedy dyrektor Kreczmar odradził mi zerwanie umowy, tłumacząc, że zawsze już będzie szła za mną fatalna opinia. Jego propozycja była jeszcze aktualna rok później, ale ja byłam już po roli w „Pokojkowkach” weszłam w swój teatr i przeprowadzka nie byłaby artystycznie opłacalna. Myślałem jeszcze o wyjeździe z Krakowa w chwili, gdy odchodził dyrektor Hübner, ale byłam na tyle związana z teatrem, i domem, że raz jeszcze zrezygnowałam. Nie widziałam już dla siebie miejsca w nowych warunkach. Wrosłam do końca w ten Kraków, który zresztą nigdy mi się za to nie odwdzielił. Ale nie szkodzi. To śmieszne, nawet za komunistów nie dostałam nagrody tego miasta, choć otrzymała ją wielu moich kolegów. Ale teraz mogę się z tego tylko cieszyć, aczkolwiek muszę się przyznać, że różne krzyże do piersi mi przypinano.

◆ Przede wszystkim jest Pani aktorką teatralną. Pamiętam tylko jedną Pani rolę — powiedzmy filmową, w telewizyjnej adaptacji

spektaklu „Z biegiem lat, z biegiem dni”.

— Widzę, że nie oglądał Pan mojego odcinka, bodajże siódmego, „Dekalogu”... Ale rzeczywiście, zagrałam tylko jedną dużą rolę filmową, w „Dzienniku” Marty Meszaros, tryptyku opowiadającym o latach stalinowskich na Węgrzech. Pierwsza część filmu dostała nawet Srebrną Palmę w Cannes.

◆ Ale dlaczego tylko jedną? Czy po prostu Pani nie chciała, czy też nie otrzymywała Pani propozycji?

— Owszem, proponowano mi role, ale te propozycje nie były porywające. A poza tym nie odpowiada mi styl pracy w filmie. Po raz pierwszy spróbowałam zagrać w filmie jeszcze na początku kariery. Ale film był nienajlepszy, rola — drugoplanowa — również, do tego koszmarne warunki pracy. Wtedy stwierdziłam, że to robota nie dla mnie. Film kręci się po kawaleczku, właściwie to improwizacja realizowana w okropnych wa-

runkach. Ja jestem Wodnik, lubię wygodę i pewien luksus pracy. Muszę mieć możliwość skupienia, przeszkadza mi, gdy coś mnie boli, coś uwiera, do tego deszcz pada i jeszcze kaza robić coś, czego nie znoszę albo nie umiem. W teatrze jest inaczej. Poza tym teatr wymaga innych środków aktorskich. Jestem osobą ekspresyjną, taką mam naturę, i to właśnie można świetnie wykorzystać na scenie. Jestem wyrazista, publiczność rozumie, co chcę powiedzieć, a w filmie muszę strasznie nad sobą panować.

◆ Kilka miesięcy temu mówiła Pani o swym pomysle prywatnego, objazdowego, dwuosobowego teatru. Kiedy premiera?

— Pomysłów to ja mam dużo, tyle, że nie nadają się do realizacji. Także i tego, na który wpadliśmy wspólnie z Janem Nowickim, nie zrealizuję. A zresztą, może zrealizuję? Nie wiem. Na razie zarzuciliśmy te plany. Przeszło nam, krótkim